Rozmaitości

Dnia 20. Listopada N[er]. 47. Roku 1841.

Szczęsny i Jérzy Strusie.

(WYPADEK Z ROKU 1506.)

Męztwo nie czeka na lata.
Morsztyn.

Gęste powstają tumany,
Dzikie zagrzmiały okrzyki,
Jak rozhukane bałwany
Walą się Tatarów szyki.

I żyźne równiny Lwowa
I góry Lwowa zaległy,
I jak szarańcza stepowa
Wszędy zniszczenie zażegły.

Wsi puszcza z dymem pożoga,
Dobytek włościan zburzony;
A nawet zaciekłość wroga
I na pniu pustoszy plony!

Najsroższych gwałtów nie szczędzi
Ten zwiastun strasznéj niedoli;
Zabrał wszystko, więc lud pędzi
Do gorszéj nad śmierć niewoli!

W tym stanie powszechnéj trwogi
I mury Lwowa zadrżały;
Lecz drogo ojczyste progi
Zaprzeda wrogom lud śmiały.

Kupią się walecznych roty
Ojczystego bronić miasta:
Trwoga dodaje ochoty,
Męztwo wieścią nieszczęść wzrasta.

I ciągną przeciw Tatarom
Piersiami zasłaniać grodu;
Wiara walecznych sztandarom
Przodkuje w sprawie narodu.

Między walecznymi było
Dwóch młodzianów: Strusie zwani;
Męztwem obu serce biło,
Z męztwa w całém mieście znani.

W murach Lwowa światło dzienne
Dla obu braci zabłysło,
I serce w czuciach niezmienne,
Miłością łączy ich ścisłą.

W boju razem w szyku stoją—
—Przykład braci przywiązania—
I w utarczce piersią swoją
Jeden drugiego zasłania.

I obaj na ziomków czele
Jak wezbrana w pędzie rzéka,
Jak dwa anioły mściciele,
Roznoszą postrach z-daleka.

„Naprzód bracia!“ walcząc krzyczą,
I pośród pobojowiska
Gdzie najsroższy bój wre z dziczą,
Groźny proporzec ich błyska.

Ścielą trupem, łamią szyki,
A w ich uściech brzmi śpiéw święty:
Aż zewsząd pohaniec dziki
Ustępował trwogą zdjęty.

Wtém padł Jérzy, z boku strzałą
Tatarzyna ugodzony;
Ciało się jego zachwiało,
Krwią swojskie zbroczył zagony.

Szczęsny trupa nie odbieżał,
Walczył jeszcze z zemstą w oku
Póki sam trupem nie leżał,
Przy braterskim nie padł boku.

Poległ, lecz pierzchli Tatarzy
Krwią ucieczki znacząc ślady,
I już ich tuman nie gwarzy
Hasłem morderczéj zagłady.

Mury Lwowa odetchnęły
A lud powrócon swobodzie,
Pobożnemi wieńczy dzieły
Głośne zwycięztwo w narodzie.

Łzami czci świątynie pańskie
Uwolniona ludu rzesza;
Odbite łupy pogańskie
U stóp ołtarzów zawiesza.

Lecz w téj powszechnéj radości
I o poległych wspomniano:
Wzięte z bojowisk ich kości
Z czcią na cmentarzach składano.

Zaś zwłoki Strusiów walecznych,
Wsławionych miasta obroną,
Itu oznace hołdów wiecznych
W grobach katedry złożono.

I dla większego uczczenia,
Ozdobna wieńcem z wawrzynu
Grób ich chorągiew ocienia,
Z wyobrażeniem ich czynu.*)

Długi czas w grubéj żałobie,
Jak dwie tęskne gołębice,
Widywano na ich grobie
Dwie, łzy roniące dziewice.

Gdy kwiat życia postradały
Rozwinięty w wdzięków sile,
Tu go łzami polewały
By im zakwitł na mogile!

St. Jaszowski.

G R E U Z E.

(Dokończenie.)

3.

Szczegóły swojéj piérwszéj miłości opowiedział Greuze dwóm swoim przyjaciołom, to jest: Gretremu i Floryjanowi; w opowiadaniu naszém pójdziemy za słowami poety.

Greuze dla odwzorowania wizerunku pięknéj Dyjanny odwidził Floryjana w pałacu Anet, z *Poitiers;* zachwycał się widokiem spaniałego letniego pałacu, który był arcydziełem sławnego budownika Philiberta Delorme; pałac ten i piękne jego okolice, nie dały mu nawet czasu do malowania. Jednego wieczora weszli obadwaj do gaju przy fontannie Dyjanny. »Odpoczniéjmy tutaj! przypadkiem znalazłem tu jednę z najpiękniejszych pamiątek z czasu mojéj młodości! pamiątka ta podobnie jak sztylet przeszyła serce moje! O luby wieku młodzieńczy! O rozkoszo miłości! O słodkie urojenie!« — To rzekłszy, usiadł Greuze na kanapie z murawy, i zaczął w te słowa: »Miałem podówczas lat dwadzieścia, byłem w kwiecie mojéj młodości; malowałem z zapałem ziemskie i niebiańskie piękności, i byłem mocno zakochany. Ach! kogożto ja kochałem? Oto małżonkę mego nauczyciela; piękną niewiastę, z którą się on w Prowancyi ożenił, w tymto kraju miłości i piękności. Gdym po raz piérwszy ujrzał ją wchodzącą do pracowni, pędzel wypadł mi z ręki; drugą razą biło mi serce gwałtownie, za trzecim razem: zakochałem się na zabój, i—poznałem co to są strzały miłości! Podówczas malowałem tylko godła na wystawy do sklepów, lecz poznawszy miłość, poznałem co jest wdzięk i harmonija! Upłynęło kilka tygodni, a serce moje i oczy moje nie śmiały przemówić, i, gdyby nie fijoletowy pantofel, byłyby podobno nigdy nie przemówiły.

Jednego poranku, gdy weszła do pracowni, malowałem Sabaudczyka dla galeryi margrabiego Hautbois; była ubrana w najskromniejszym ale bardzo powabnym negliżu, jaki kiedy w życiu mojém widziałem. Gęsty promień włosów spływał spaniale z pod grzebienia na jéj ramiona; pierś odznaczająca się z lekka pod przegubami szaty, czyniła ją tém powabniejszą! Leniwym krokiem wlekła za sobą fijoletowe pantofle, które na jéj nogę za duże były. Ja nie przestawałem wprawdzie malować mego Sabaudczyka, lecz przypatrywałem się jéj z boku nieustannie z sercem pełném ognia. Ona stanąwszy za mojém krzesłem i oparłszy się na jego krawędzi, pochyliła się nademną i rzekła: »Co za milutki Sabaudczyk!« Na te słowa uczułem, żem spłonął ogniem, ale nie ogniem potępieńców. Ramię jéj dotknęło się mego, oddech jéj przesuwał się po moich włosach! Zacząłem tracić zmysły, mój Sabaudczyk zaczął mi już niknąć z oczu, gdy oto nagle dał się słyszeć głos mego nauczyciela! Eleonora uleciała jak ptak spłoszony, ale uciekając zostawiła—pantofel. Jak obłąkany, pochwyciłem ten klejnot drogi; ucałowałem go stokroć drżącemi usty i zaślepiony namiętnością, nie spostrzegłem małéj

---

*) Chorągiew ta, jak pisze Bartłomiéj Zimorowicz w *Historyi miasta Lwowa* (z któréj ten wypadek wyjęliśmy), spłonęła w późniejszym pożarze kościoła katedralnego.

Żanety, téj saméj Żanety, która obecnie jest małżonką Gretrego. Dziewczyna ujrzawszy, żem do piersi przyciskał i serdecznie całował pantofel matki, zdziwiona pobiegła oznajmić to ojcu: tym sposobem Eleonora dowiedziała się o mojéj miłości. — »On jest dzieckiem«, rzekła zupełnie spokojna. — »Mnie się nie zdaje«, odrzekł Grondom uśmiéchając się dla ukrycia swojéj zazdrości. Podczas śniadania nie spomniano ani słowa. Po południu przybie[illegible] Żaneta z rozkazem od matki, abym jéj [illegible]ntofel wydał. Odrzekłem, żem ani go widział. Na drugi dzień obawiając się przetrząsania domu, odnosząc Sabaudczyka do galeryi margrabiego Hautbois, wziąłem i pantofel z sobą. Oddawszy obraz, poszedłem do ogrodu margrabiego, gdzie miałem sposobność pieścić się marzeniami mojéj miłości, i tam ukryłem w gęstym krzaku nieoceniony dla mnie pantofel! Przez cztéry tygodnie chodziłem co wieczór do ogrodu: margrabia wyjechał był do kąpieli w Spaa. Nikt więc nie przeszkadzał mi ani w samotném dumaniu ani w ulubionéj przechadzce, jak tylko jeden ogrodnik, poczciwy staruszek, mający tę jednę wadę, że mnie koniecznie przekonać usiłował, iż róże, które on pielęgnuje, nie mniejszą a może i większą mają wartość, niż te, którem ja malował. Ach, byłyto szczęśliwe czasy! Dnie upływały tak szybko jak godziny, a godziny jako sny złote! O, błogie chwile miłości! Serce moje tęskniło jedynie za samotném ustroniem, szukało tylko cienia i fijoletowego pantofla!«

Jednakże Eleonora nie była spokojną. Jednego razu, gdy Grondom odprowadzał do drzwi jednego z swych przyjaciół, rzekła do mnie prawie groźnym głosem: »Greuze, gdzież jest mój pantofel?« — Ukryty w ogrodzie margrabiego, odrzekłem drżący: »przyjdź tam pani, a odbierzesz go sobie.« — »Jesteś nierozsądnym Greuze.« — A gdy Grondom drzwi zamykał, zaczęła śpiéwać ujmującym głosem owę znaną piosnkę: »*Słyszycież ten flet pastuszy?*« — W kilka dni późniéj, wyjechał Grondom do miasta Le Puy, gdzie miał odnawiać obraz św. Maryi Magdaleny. Z początku chciał mnie wziąć z sobą, ale wkrótce rzekł do mnie: »Podróż z tobą kosztowałaby dziesięć albo dwanaście talarów — a zatém więcéj niż ty wart jesteś.« Rozważywszy tę rzecz dokładnie, przekonał się, żem go w domu mniéj kosztował; a więc sam wybrał się w tę podróż. Szczęśliwéj drogi, pomyśliłem sobie. Co do mnie, ja przechadzałem się jeszcze częściéj niż przedtém po moim ziemskim raju: prawda, że mi jeszcze zbywało na Ewie, ale już miałem jéj pantofel! Zarazem nie można mieć wszystkiego. Eleonora pochodziła w prostéj linii od najpiérwszéj matki naszéj; była więc już z rodu ciekawą, musiała się chcąc nie chcąc zbliżyć do zakazanego drzewa. Jednego razu, był tak śliczny, tak pogodny wieczór, jak dzisiaj; tu i owdzie przesuwały się po niebie obłoczki, w zachodzącém wieczorném słońcu kwiliły słowiki; zbiérające miód na białém kwieciu, brzęczały pszczoły; a ja upojony rozkoszną miłością, wzdychałem w moim ulubionym gaiku; aż oto nagle dał się słyszeć jasno-dźwięczny głos Żanety. Spojrzawszy przez zarośle, spostrzegłem panią Grondom przechadzającą się z swoją córką po alei drzew granatowych. Córka poskakiwała jak sarneczka, matka zaś szła smutna i zamyślona, jak niewiasta, która nad czémeś dumać się zdaje. Ach, jakże ona bladém światłem wieczora opromieniona, piękną była! Jaka anielska dobroć malowała się na jéj twarzy! Zbliżyła się do mego gaju ni owa niewiasta, która sama nie wié dokąd idzie. Ogrodnik, który koło niéj przeszedł, domyślając się, że mnie szuka, powiedział jéj, że jestem w gaju. Pani Grondom nieodpowiedziawszy mu ani słowa, szła ciągle naprzód. Poczciwy staruszek pozostał w tyle z Żanetą; z ojcowską dobrocią przyniósł jéj kilka granatowych jabłek. Żaneta uradowana czerwonémi na pół otwartémi jabłkami, oddaliła się od matki i pobiegła za ogrodnikiem. Jam czatował jak wąż ukryty w krzaku; każdy krok Eleonory, przeszywał jak pocisk strzały moje serce. Nie zboczywszy z drogi, poszła prosto i już zbliżała się do gaju; chwyciłem co prędzéj pantofel i zacząłem wyciskać na nim serdeczne całunki. Być może, że w tém była niejaka przesada, gdyż byłem pewny, że Eleonora mogła mnie już widzieć; ale pytam, ażali najszlachetniejsza miłość nie ma czasami cokolwiek

przesady w sobie? Pani Grondom zastała mnie całującego jéj pantofel. Z razu zdało się, że chciała mnie skarcić, jednakże tym niemym i romantycznym hołdem do żywego wzruszona, uśmiéchnęła się z żałością.

»Pani«, rzekłem rzucając się jéj do nóg, »oto masz, odbierz co mi najdroższe, odbierz twój pantofel!« Pani Grondom słysząc to, westchnęła. »Biédny chłopcze«, odrzekła z-cicha, »wstań i zamilczmy o tém nazawsze!« To mówiąc przycisnęła moję głowę do swéj piersi, i zaczęła swémi drobnemi, milutkiemi palcami układać na niéj moje włosy w pukle zwinięte; trzeba wiedzieć, że w dwudziestym roku moim miałem najpiękniejsze w świecie blond włosy. Powstawszy z ziemi, ucałowałem serdecznie jéj rękę: całując, uroniłem łez kilka, które na jéj rękę spłynęły. Mamże wyznać szczérze? Ujęta przemocą miłości, położyła piękną swoje głowę na mojém ramieniu. »Greuze«, rzekła przytłumionym głosem, »kochać mnie zaprzestań, inaczéj zguba nas czeka! Ja cię nie kocham, nie, nie, nie kocham; tylko serce moje jest niespokojne.—Ach, prawda, że serce niespokojne, alem ja temu nie winna!« — »Dla czegożto pani mam przestać kochać ciebie? Miłość jest niewinnym darem nieba, mojém jedyném szczęściem, ona nie obraża nikogo, a nawet ciebie pani.« — Eleonora westchnęła i wstrząsnęła głową. Tak staliśmy oboje w milczeniu przez chwil kilka; słyszeliśmy wietrzyk szeleszczący liściem, słyszeliśmy pszczół brzęczenie, a nadewszystko gwałtowne bicie serc naszych! Teraz już jestem w wieku, a jednak ileż nie dałbym dni za jednę kropkę czasu takiéj błogosławionéj chwili! Eleonora drżała uczuciem, które w niéj walczyło, ja panowałem nad nią moją przemożną miłością, jednakże nie śmiałem przytknąć ust—nawet do jéj włosów. Nareszcie podniosła głowę, i spojrzała na mnie z niewymowną dobrocią; chciała coś mówić, ale ja w téjże chwili zgasiłem jéj głos mym pocałunkiem. Byłoto za nadto — i za mało, byłoto wszystko! Chciała się z mego wywinąć objęcia, lecz ją zatrzymałem. »Czemużto, czemu nie mam cię kochać pani?« zapytałem namiętnie. Téjże samej chwili, córka jéj zbliżając się do nas, zawołała donośnym głosem. Matka obejrzała się i rzekła spieszno: »Czemu nie masz mnie kochać? Oto jest w sam czas odpowiedź, którą sam Bóg w moję przestrogę zsyła!« To mówiąc wskazała palcem na Żanetę i wyszła z krzaków naprzeciw swojéj córce. Skoro z gaju wyszła, natychmiast wpłynęło na horyzont słońce, które przed chwilą skryło się w obłoki; jéj czoło magicznym promieniem olśnione, uniosło mię w zachwycenie; widziałem w niéj obraz świętéj niewiasty, który mnie nagle wszystkie madonny Rafała przypomniał. Niebo pospieszyło mi w pomoc, miłość macierzyńska odniosła zwycięztwo! Aż do tego czasu karmiłem w sobie kary-godne nadzieje, ale od chwili pojawienia się tego zachwytnego obrazu, umilkłem bez szemrania, a duch mój wzbił się aż do uwielbienia. Odtąd Eleonora nie była dla mnie niewiastą, ale obrazem niebianki, którą Bóg objawia poecie; była boskim utworem, jakim malarz uszczęśliwia tę ziemię! Nieraz usiłowałem odmalować ten obraz, który jeszcze całkiem żywo tkwi w mojéj duszy, lecz mi nigdy się nie powiodło, moja ręka drżała, łzy zaćmiewały moje oczy! Tylko poecie, mającemu krocie barw słowa, dozwolono jest ogarnąć i oddać taką scenę!«

Na te wyrazy ukłonił się Floryjan: »Wypadek wpana wzruszył mnie do żywego; jest piękny i szlachetny. Dziękuję mu za powierzenie mi téj tajemnicy; jestto droga puścizna, którą tymczasem w sercu mojém zachowam. Ale oto w sam czas nadchodzi Agniészka, idzie do fontanny: dla mnie byłoby opowiadanie wpana piękną sielanką, czemuż nie miałoby dla wpana być pięknym obrazem? Nuż żywo, zabiérz się do roboty; Agniészka jest ładną, okolica zajmująca, fontanna dodaje uroku.« — »Ależ Agniészka wpana nie idzie do fontanny«, rzekł Greuze. — »Do sto katów, dokądże ona idzie?« rzekł sam do siebie Floryjan: »Stawia dzbanek na murawie i zmierza ku źwierzyńcowi. Zapewne jest w tém jakaś miłostka. Pan Penthierre sprowadził do pałacu młodego drzewo-rytnika, który na Agniészkę bardzo mile spoglądał. Czwarta godzina z-południa; właśnie o tym czasie przechadza się on po zwierzyńcu; Agniészka chce się w tęż stronę przemknąć: niech ją

pan Bóg prowadził« — »Cóżto za jedna ta piękna Agnieszka?« — »Jestto córka ogrodnika z Anetu — zaiste najświeższa róża w tym ogrodzie. Przeszłego roku powiedział jéj pewien książę, że jest piękną, pochlébstwo to z ust wielkiego pana, zawróciło jéj głowę. Jeżeli ojciec nie będzie miał na tę różę oka, nienajlepiéj na tém wyjdzie. Widzisz ją wpan tam dołem idącą? wraca zdziwiona i zadumana.« — »Nie inaczéj, zapewne ją ten hultaj drzeworytnik serdecznie pocałował.« — »Przeciw temu nie da się nic powiedzieć; oboje są młodzi, a kochanie w 17. roku życia jest błogosławieństwem nieba. Oto patrz wpan: wzięła znowu dzbanek, wraca powolnym, niedbałym krokiem. Gdybym ją tak idącą odmalował?« — »Więcby coś brakowało.« — »I cóż takiego jeżeli się zapytać wolno?« — »Pocałunku w zwierzyńcu.« — »Malarz umie sobie poradzić: pocałunek mogę jakimeś atrybutem oznaczyć, odmaluję ją ze stłuczonym dzbankiem — może to będzie znamię za wiele oznaczające, ale pomysł jest przedziwny.« — »A więc weź się do roboty, obraz ten zwać się będzie stłuczony dzbanek.« — »Lecz w czasie, gdy ja obraz malować będę, napisz wpan moję powieść i daj jéj nazwę: *Pantofel fijoletowy.* Ale co ja téż mówię, wszak to nie jest powieść, lecz spowiedź przyjacielska; strzeż się ją wpan objawiać w jakowéj książce.«

Greuze odmalował stłuczony dzbanek. Kto zwidził *musée du Louvre,* ten podziwiał najprzyjemniejszą twarzyczkę z uśmiéchem niewinności i wzrokiem pełnym rozkoszy. Floryjan nie napisał powiastki pod tytułem: *Pantofel fioletowy;* mawiał on nieraz, że po śmierci malarza Greuze, napisze piękną powieść, z tém wszystkiém Floryjan zeszedł prędzéj niż malarz z tego świata.

Greuze nie uszedł wielkiego nieszczęścia — ożenił się, wszedł w związki z osobą mieszczańskiego stanu, i spodziéwał się chwil błogich, cichego domowego pożycia — ale to szczęście nie trwało i sześciu tygodni. Pani Greuze nie była tak bardzo zakochaną w domowém życiu, jak się z początku zdawało; lubiła teatr, taniec i towarzystwa wieczorne. Zaczęła niszczyć majątek swego męża, miała dziwactwa wielkiéj damy i trwoniła pieniądze, grając rolę margrabiny. Greuze został jéj lekkomyślności igrzyskiem. Usiłował sprowadzić ją na drogę cnoty; w tym zamiarze odmalował dwa jenijalne obrazy, pierwszemu dał miano: *Łódź szczęścia,* a drugi *Łodzią nieszczęścia* nazwał. W piérwszym statku, który lekko z wiatrem po gładkiém, spokojném mknie morzu, widać dwoje młodych nowożeńców, uśmiéchających się tajemnie i swobodnie; robią oni wiosłem kolejno, dla dostania się na wyspę uwieńczoną mirtem i różami, śród których świątynia szczęścia połyska; dla odbycia pomyślnie téj żeglugi, zmuszeni są przeprawiać się koło przepaści: snadno zgadnąć jakato przepaść! Oboje kochankowie obopólném natężeniem pokonywują niebezpieczeństwo. Bożek pojawiający się na przedniéj części łodzi, uśmiécha się z rozkoszą do uszczęśliwionych małżonków.

W drugiém czółenku całkiem inne dzieją się rzeczy, nie masz tu mowy o szczęściu. Jestto toż samo morze, ale już rozhukane, bałwany się pienią, piorun wypada z obłoków i burzy świątynię szczęścia, niepowściągliwy wicher popędza statek prosto w odmęt przepaści; biédny małżonek dla ujścia niebezpieczeństwa sam tylko swoje siły natęża: maszt się łamie, nie ma już dla niego ratunku. Naprzeciw niego wygodnie siedzi w łodzi małżonka, pochyliwszy głowę, uśmiécha się ukradkiem: widać, że ją ożywia jakieś kary-godne wspomnienie i pociesza w tém niebezpieczeństwie. Obok niéj walczy dwoje w podarte szmaty osłoniętych dzieci o kęs razowego chleba; ona nie widzi swoich dzieci, serce jéj czém inném jest zajęte, czyli raczéj ona już nie ma serca. Bożek miłości zwraca w dół swą pochodnię i umyka z łodzi, którą niebawem morskie pochłoną odmęty.

Obadwa te obrazy nie przypadły do smaku pani Greuze. »Jestto alegoryja bardzo nie do rzeczy«, rzekła do malarza, »świątynia szczęścia nie na swojém jest tu miejscu; na téj pustéj wyspie wygląda jak zamek w powietrzu; i cóż rozumiész przez tę przepaść?« — »Rozumiém i spodziéwam się, że w nią honoru mego nie wtrącisz!« Na te słowa pani Greuze roześmiała się głośno: »W saméj rzeczy, jak widzę, wpan jesteś człowiek ze złotego wieku! Z resztą

żegluj sobie dokąd ci się podobać będzie, wiosło twéj łodzi nie zboczy z swego toru.«

Greuze chociaż w małżeńskim stanie sam był nieszczęśliwy, nie mógł jednak cierpieć bezżennych, zdaje się, że miał do nich jakąś urazę. Ulgę i pocieszenie znalazł w sercu swéj córki.

Greuze nie był malarzem historycznym, nie znał się na Grekach i Rzymianach; nie miał ani wzniosłego stylu, ni stałego kolorytu, atoli po mistrzowsku umiał oddać burze i swobodne rozkosze familijnego życia. Jego *Oblubienica wiejska,* jest obrazem, który z żadnym innym w porównanie iść nie może; jestto scena z Pisma św.; panuje w niéj cicha, bogobojna powaga, która czasy proroków przypomina. *N. Maryja Panna,* jest więcéj niż obrazem, jestto istotna dziewica w całym cielesnym blasku, w boskiéj i człowieczéj piękności razem. Dwóch modelów użył artysta do oddania téj prześlicznéj postaci: Letycyję i Eleonorę; to objaśnia nam ten boski urok, którym to arcydzieło jaśnieje. Greuze sam mówił: »Na te obrazy umaczałem pędzel w mojém sercu.« Jako przeciwieństwo z tym obrazem, możnaby wziąć obraz: *Zatwardziałego ojca.* Diderot wyrzekł: że to jest okropne arcydzieło. Gdy je księżna Bourbon po raz piérwszy ujrzała, padła na wpół zemdlona w ramiona p. Argentał.

Greuze został członkiem akademii pięknych kunsztów, a późniéj malarzem dworu. Ale któżby temu dał wiarę, że ten uprzejmy artysta, który malował wielkiego księcia i wielką księżnę rossyjską, Ludwika XVI., jenerała Bonapartego, króla szwedzkiego, cesarza niemieckiego, i wielu innych wielkich panów wszelkich narodów: że ten szczéro-francuzki malarz Greuze, którego dzieła mogłyby zbogacić dziesięciu innych malarzy, umarł w ubogim stanie! Po upływie roku 1789, wiek ośmnasty zaprzątniony był inną sprawą. Francyja ocknęła się jakby ze snu w nowym świecie. Kogoż wtedy obchodzić mogły *Wiejscy Nowożeńcy* lub *Dzbanek stłuczony?* Trzy wielkie owoczesne obrazy były: wojna, mownica — gilotyna. Greuze miał córkę, która tylko żyła dla niego, a on tylko dla niéj. Przebył cierpliwie okropne sceny rewolucyi i szydził niekiedy z bohatérów trybuny. »Obywatel Homer i obywatel Rafał«, było jego przysłowiem, »będą podobno równie tak długo żyli, jak i ci sławni obywatele, których nawet z nazwiska nie znam.«

Mieszkał w Luwrze; każdego ranka pytał córki: »Któż tam dzisiaj jest królem?« Był zawsze wesołego umysłu; jedna tylko myśl, że córkę swoje bez przytułku pozostawi, nabawiła go niekiedy smutkiem. Czując się być blizkim zgonu, raz jeszcze wziął pędzel do ręki: »Nim umrę«, rzekł, »muszę mojéj Karolinie zostawić pamiątkę.« W dniach ostatnich życia odmalował jeszcze swój i swojéj córki wizerunek. W salonie z roku 1805 wizerunek ten był jeden z najlepszych. Dziwiono się nad młodzieńczą siłą ośmdziesięcio-letniego starca. A wiadomoż co Karolina uczyniła z tym portretem, tą jedyną puścizną swego ojca? »Sprzedaż go za sto luidorów«, rzekł do niéj. Karolina sprzedała swój własny, ojcowski zaś zatrzymała jak świętość! Piękny ten czyn niech będzie pocieszeniem dla ojców, którzy dzieciom swoim prócz dobrego imienia nic więcéj pozostawić nie mogą!

Od dni kilku leżał Greuze chory w łóżku; godzina jego zbliżała się, siły ustawały. Jeden tylko Barthelemi odwidził go w téj smutno-uroczystéj chwili. — »Jak się masz Greuze? Co robisz?« — »Przyjacielu, uczę się umiérać; jeżeli kiedy śmierć opisywać będziesz, wyobraź sobie złą matkę, która swoje dzieci usypia, aby się ich z karku pozbyła. Nie wiém już sam co mówię; ale chwilkę cierpliwości, niebawem, już wam nic nie powiém.« — »Nie trać nadziei przyjacielu, piérwszego dnia wiosny nikt nie umiéra.« — »Od czasu jak Sankuloty panują, nie wiém nawet w jakiéj porze roku jesteśmy, czy to *Ventose* czy *Germinal?*« — »Wszystko jedno, patrz jak pięknie słońce świeci.« — »Mam piękną w moję podróż pogodę! Żegnam cię Barthelemi i czekam cię na moim pogrzebie. Będziesz sam jeden, jak był on pies przy ubogim żebraku. Odejdź teraz, proszę cię przyjacielu, mam jeszcze pomodlić się za moję córkę! Prawda, że tam w górze będę miał dosyć czasu na to.«

Greuze umarł pod wieczór; ostatniém westchnieniem jego była modlitwa o pomyślność córki. Biédna Karolina spędziwszy całą noc przy jego łóżku, zalana łzami chodziła po przyjaciołach swego ojca, mówiąc te słowa: »Jutro go pogrzebią!« Z-iściła się przepowiednia malarza Greuze, nazajutrz nie było nikogo na pogrzebie, jak tylko Dumon i Barthelemi, on pies ubogiego żebraka. Podczas mszy za jego duszę, jakaś niewiasta położyła wieniec na jego trunnie. »Słuszna rzecz«, wyrzekł dziennik *de l'Empire*, »że ten znak hołdu złożyła niewiasta na trunnie sławnego artysty, który talent swój prawie wyłącznie niewiastom poświęcał.« Gdy już był pogrzebany, dopiéro cały Paryż obeszła śmierć tego męża! »Jako«, mówiono, »Greuze umarł?« —»Tak jest, umarł biédny i opuszczony!« — »Biédny i opuszczony? Czy podobna!« — »Czemuż nie mówił, że jest biédny?« dał się słyszeć cesarz! — »Czemuż nie mówił, że jest biédny«, ozwał się Dawid, malarz bogacz! — Takito świat, gdy po niewczasie, wtedy każdy spieszy z pomocną ręką! O, biédni artyści, wy dopiéro po śmierci

życie, wam się dopiéro po śmierci naród wywdzięczał! Pomimo najżyczliwszych oświadczeń, przecież zapomniał wkrótce równie Napoleon jak i Dawid, że córka ubogiego artysty zostaje w nędzy. Szlachetna dziewczyna ta utrzymywała się szyciem i malarstwem. Jakkolwiek była uboga, święciła jednakże corocznie pamiątkę ojca. Zacząwszy od 21go marca aż do piérwszych przymrozków jesieni, grób malarza wyglądał jak ogród, w którym róże kwitnęły. »Póki życia mego«, mówiła, »póty róże na tym grobie kwitnąć nie przestaną.« — Niedawno zwidziłem ten grób, ale jużem nie zastał ani róż ani wieńców, smutno tylko szumiał liść w poblizkich cyprysach! O, znikoma sławo — o ludzie!

Gdzież ty jesteś zacna córko artysty!

ZE LWOWA.

Tygodnika rolniczo-przemysłowego pod Redakcyją T. W. Kochańskiego, wyszedł Nr. 46. i obejmuje: 1) Proso perskie (*panicum persicum*). 2) O zmianie częstéj nasion zbożowych. 3) Środki zapobiegania i léczenia niektórych chorób bydła rogatego i owiec. 4) O torfie w ogóle, a w szczególności o torfie zamarsztynowskim pode Lwowem, przez Teodora Torosiewicza. (Ciąg dalszy). 5) Wiadomości czasowe.

Ner. 22. *Dziennika mód paryskich*, wydawanego przez Tomasza Kulczyckiego, zawiera prócz mód, następujące artykuły: 1) Bertold i jego kasztan z karmazynowémi uszami, przez W. Chłędowskiego. 2) Wiersz: Szukająca, przez L. Dunina-Borkowskiego. 3) Kobieta, przez Jana Dobrzańskiego.

Lwowianina, przeznaczonego krajowym i użytecznym wiadomościom, wydawanego w połączeniu prac miłośników nauk, zeszyt dwunasty opuścił prasę dnia 10. listopada roku bieżącego.

W Wiédniu u Solingera wyszedł przekład trajedyi Fryderyka Halma, pod tytułem: *Adept*. Przełożył ją wierszem rymowym na język polski pan H. Kłobukowski, jeden z młodych pisarzy prowincyi naszéj.

Z Krakowa donoszą, że druk trzeciego tomu *Historyi literatury* Michała Wiszniewskiego już na ukończeniu. Pan Muczkowski tamże zajmuje się ciągle swoją *Historyją akademii Jagiellońskiéj*.

W Warszawie pan Michał Baliński, trudni się przerobieniem swych *Pamiętników o królowéj Barbarze*, do których przybyły mu nowe i ważne materyjały. — *Czarna mara*, powieść historyczna pani Nakwaskiéj, wyszła z druku. — Pod prasą znajdują się noworoczniki: *Niezapominajki* Korwella i *Piérwiosnek* pani Krakow. — Znani z kilku utworów beletrycznych pp. Władysław Wężyk i Norwid, z których ostatni jest także rysownikiem, odbywają podróż malowniczą i naukową po królestwie, którą zamyślają drukiem ogłosić.

Orędownik naukowy donosi z Wilna, że tamże miłośnik starożytności krajowych Eustachy hr. Tyszkiewicz, odkrył ważny rękopis Jana Tarnowskiego, o którym Orzechowski w pismach swoich wspomniał. Tytuł jego: *Księgi o gotowości wojennéj sławnego a wiecznéj pamięci godnego pana Jana Tarnowskiego, kasztelana krakowskiego, starosty sandomierskiego, tak z ćwiczenia jako z doświadczenia jego samego spisane.* Dzieło to składa się z czterech ksiąg i z dodatku; dwie piérwsze są właściwie przez Tarnowskiego napisane, trzecia obejmuje sprawy wojenne w Turczech z *Kroniki* Konstantyna, syna Michała Konstantynowicza, Raca (Serba) z Ostrowicy, owego z *Pamiętników* znanego Jańczara; księga czwarta traktuje o tajemnicach puszkarskich i jest z włoskiego przetłumaczoną, z rękopisma darowanego od księcia Ferary Janowi Radziwiłłowi, krajczemu wiel. Ks. Litewskiego r. 1547. W końcu dołączone są *Artykuły hetmańskie.* Rękopis ten zdający się być z początków XVII. wieku, obejmuje w ćwiartce kart 99 i ma być wydany w Wilnie u Adama Zawadzkiego.

Z Poznania. Z swych literackich prac zaszczytnie znany Andrzej Moraczewski, rozpoczął d. 6. b. m. kurs historyi sławiańskiéj. Sala była napełniona słuchaczami płci obojéj. Opisał znaczenie historyi, różne o niej pojęcia, wzniosłe stanowisko historyka w prawdziwém tego słowa znaczeniu i potrzebę zaznajomienia się z historyją w zawodzie każdéj umiejętności i każdéj sztuki. Rzecz była wybornie wypracowana, pełną nowych pomysłów i trafnych przenośni. Zrobiła głębokie na słuchaczach wrażenie. *(G. P.)*

Na posiedzeniu akademii umiejętności w Paryżu, odczytano wyciąg z pamiętników akademii w Rouen, z którego okazuje się, że léczeniem zezu za pomocą operacyi chirurgicznéj, już się w roku 1743 w nadmienioném mieście zajmował pewien lékarz, którego sława i zręczność tak wielką ciżbę ludzi ściągnęła, iż przed pomieszkaniem jego straż postawić musiano. Z tém wszystkiém jeden z członków akademii normandzkiéj, który podówczas téj operacyi był obecny i skutek jéj zatwierdził, zdając późniéj sprawę nadmienionemu towarzystwu uczonych z tego wypadku, nie wahał się przecież operatora szarlatanem nazwać.

Kwiat i owoc w jednym czasie na gruszy. *Echo du Monde Savant* zawiéra pod dniem 26. października z *Journal de Limbourg* następującą wiadomość: »W pobliżu Mastrychtu grusza okryta rzęsistym owocem, puściła mnóstwo nowego kwiatu, z którego się także bardzo piękne gruszki zrodziły, a w téj chwili, gdy powtórny owoc zupełnie się wywinął, okrywa się drzewo kwiatem już po raz trzeci. Dziwne to zjawienie wytłumaczyć można li tylko częstémi zmianami temperatury, które wiosną i latem nastawały.«

Sławna gliptoteka w Monachowie, jak wiadomo, w ten sposób zbudowana, iż światło pada z góry we wszystkie jéj przestrzenia, na ścianach zewnętrznych miasto okien ma framugi, które na posągi najznakomitszych mężów starożytnego kunsztu są przeznaczone. W przyściennéj ścianie, naprzeciw nowego gmachu przeznaczonego na wystawę wyrobów krajowych, umieszczono niedawno sześć z białego marmuru wyciosanych posągów, mianowicie posąg Wulkana Peryklesa, Hadryjana, Dedala, tudzież Fidyjasza i Prometeusza. Wszystkie te posągi są po mistrzowsku zrobione i jako ozdoby gmachu, każą domyślać się widzowi, że w nich drogie skarby są przechowane.

Izraelita tenorzystą. Castil Blaze, znany krytyk muzyki, zrobił wielkie odkrycie. Spotkał on w Awinionie młodego portugalskiego Izraelitę, nazwiskiem Numa, który ma mieć głos nadzwyczaj piękny, i zupełnie głosowi Rubiniego wyrównywający.

Cała przyboczna straż elektora w Berlinie r. 1610, złożona była z trzech trabantów, z których dwaj codziennie służbę odbywali. A gdy elektor Jan Zygmunt gdzie wyjeżdżał, wtedy pałac stał pustkami, albowiem wszystka jego straż z nim wyjeżdżała. Cała artylerija złożona była z siedmiu dział, z czterech dużych a trzech małych przez G. Gesslera w Dreźnie 1611 roku odlanych śmigownic, z których każda po 7 do ośmiu talarów kosztowała.

Niesłychany zaszczyt. Breton de los Herreros, poeta hiszpański, sprawił niedawno nowym dramatem swym *La Marcela*, tak wielki skutek, jaki tylko w Hiszpanii zdarzyć się może. Dramat jego podobał się tak bardzo, iż publiczność zażądała, aby go natychmiast, tegoż samego wieczora, powtórzono. Jakoż stało się zadość jéj żądaniu, aktorowie odegrali od początku aż do końca całą sztukę, chociaż z pięciu długich aktów się składała!

W domu inwalidów w Paryżu, jest obecnie 3051 starych żołniérzy, podzielonych na kategoryje następujące: Ciemnych 154, bez obu nóg 12, o jednéj nodze 313, bez obu ramion 9, o jedném ramieniu 226, paraliżem tkniętych 237, epilepsyję cierpiących 12, obłąkanie mających 31, z przyprawionym śrébrnym nosem lub podbródkiem 8, chromych 133, mających odmrożone nogi w czasie wyprawy rossyjskiej 28, mających sparaliżowane ręce 1321, rozmaite rany 1205, starców przeszło siedmdziesięcio-letnich 516, starców przeszło ośmdziesięcio-letnich 37.

Początek używania widelców. Chińczykowie odnoszą epokę panowania piérwszego swego króla Fa-Hi, aż do czasu, w którym my potop świata umieszczamy. Podług naszych tradycyj upłynęło od tego czasu lat 4184. Otóż jest naród, który, jak nam się zdaje, miał dosyć czasu do wynalezienia widelców, a który jednakże jeszcze po dziś dzień palcami lub ostrémi patyczkami bardzo niewygodnie jada. Rzecz ta mogłaby nas zadziwiać; atoli nic lepszemi byli w téj mierze Karol IX. i dumni jego dworzanie, równie jak i do przepychu przyzwyczajona Katarzyna medycejska z swoją rozpustną świtą, gdyż oni podobnież wszystkie potrawy mięsne palcami do ust wkładali. Piérwszy Henryk III. używał widelców, których wynalazek za tak pożyteczny uznano, że używanie ich wkrótce się upowszechniło. *Sainte-Palaye*, a po nim Dulaure, przytaczają autora, który w prawidłach przyzwoitości dla młodych ludzi, zaleca niewiastom, by przy jedzeniu nie bardzo palce sobie zatłuszczały.

Wieloryb. Z hrabstwa Fisc donoszą: »Témi dniami ujrzeli mieszkańcy z Kincardine wieloryba wyrzuconego na brzég od burzy, który miał nos nakształt butelki. Dopiéro po długiéj pracy, powiodło im się ubić ten potwór. Był on 50 stóp długi, a co do tłuszczu, ceniono go na 150 gwineów.«

Rozalija Lamorliere., ta tkliwa i czuła dziéwczyna, która nieszczęśliwéj Maryi Antoninie w więzieniu usługiwała, żyje jeszcze. Ma teraz lat 60; daną jéj przez księżnę Angouleme pensyję, przestała pobiérać w roku 1830. Od téjto chwili pozbawiona wszelkiego sposobu do życia, została umieszczoną w szpitalu.

W Bononii w teatrze *del Corso* śród powszechnego podziwienia, śpiéwało pięcioro dzieci z Wiédnia pod dyrekcyją swojego ojca *całe opery*; najmłodsze z nich ma niespełna lat 5, a najstarsze nie więcéj jak czternaście. Te dziécęce śpiéwaki dziwiły i zachwycały publiczność w operach: *Betty* i *Elisir d'amore* Donizettego, jakoteż w scenach z *Cerulika sewilskiego* i w duecie z opery buffa: *Chiara di Rosenberg*. Lecz cóż w tem dziwnego? Kiedy ptaszki kuranty śpiéwają, czemużby dzieci oper śpiéwać nie miały!

Teatr. Dnia 19. października b. r. minęło właśnie sto lat, jak Garrik, ów Rosciusz angielski, po raz piérwszy wystąpił na scenę (19go października 1741), a to w Ryszardzie trzecim, sławnéj trajedyi Szekspira. Pisma angielskie przedrukowały z powyższego dnia i roku afisz teatralny, zawiérający dokładny tytuł sztuki z dodatkiem: »*The part of king Richard by a gentleman who never appeared on any stage.*«

Dziennik *Charivari* tak się wyraża o zamęźciu panny Rachel: »Melpomena idzie za mąż. Dzisiaj wszystko się żeni: Po piérwsze *Feuilleton* (Jules Janin),*) powtóre trajedyja. Za kogoż idzie trajedyja? Za wodewilistę. Panna Rachel jest Proteuszem nowoczesnym: najpiérw wystąpiła jako dziécię, późniéj jako lwica (elegantka), a teraz jako gospodyni. Najprzód była Antygoną, ale nie ciemnego ojca wiodąca, lecz takiego, który dobrze widzi i dukaty i banknoty, potém Hermioną z bławatkami we włosach a poziomkami u piersi, późniéj lwicą londyńską, mającą pyszne bransoletki na ramionach a perły na szyi. A teraz chce się uchylić. Zamiast szalu z kaszemiru, chce przywdziać czépeczek nocny, zamiast Londynu i Bonlonii obiéra sobie kuchnię. Melpomeno, co za przejście! Ach, szczęśliwy małżonku, przyniesie ona tobie w posagu zapalczywość Hermiony, niechęć Kamili, gniéw Emilii, łzy Menonimy, rozpacz Maryi Stuart, przestrach Pauliny, zazdrość Roxany i — mnóstwo bonbonków od kaszlu, jako plon oszczędzonych swoich zdobyczy; o szczęśliwy małżonku! Skronie twoje uwieńczy ona wawrzynem i mchem islandzkim, a na twoim progu złoży sławę i katar! O Melpomeno, kiedyż będzie twoje wesele?«

Przypadek podczas lania dzwonu. Dnia 20go z. m. zabrano się w Tonrnay do lania dla kościoła katedralnego dużego dzwonu. Gdy roztopioną mesę 18 tysięcy funtów ważącą w formę lano, taż z wielkim trzaskiem pękła, a masa poszła w ziemię. W téjże chwili dało się czuć małe trzęsienie ziemi, a przestraszeni widzowie ujrzeli u nóg swoich wymykające się płomyki.

Naiwna odpowiedź. Jednego poranku ubiérała matka z wielką starannością swoję córeczkę; dziécię zdziwione zapytało matkę, dla czego je tak stroi. »Toż zapomniałaś, że dziś jest rocznica urodzin twojéj babki? Powinnaś życzyć jéj wszelkiego szczęścia i prosić Boga, aby późnéj dożyła starości.« — »Ach kochana mamo«, odpowiedziało w swojéj niewinności dziécię, »ja wolę prosić pana Boga, ażeby ją odmłodził, bo jak mnie się zdaje, jest już dosyć starą!«

Zabawna uwaga złodzieja. Wieczorną porą podczas przedstawienia sztuki, zakradł się złodziej do pokoju pewnego aktora w Berlinie. Poodmykawszy wszystkie szkatułki i szafki, i nie znalazłszy żadnéj rzeczy, coby jakąś wartość miała, oddalił się z pokoju. Po skończonéj sztuce aktor wróciwszy do domu, zastał na swym stole karteczkę, na któréj napisane były te słowa: »Powinienbyś wpan się wstydzić, że nie masz ani szeląga w domu!«

Dręczyciel krawców. Klarke tancmistrz, żyjący za panowania Jakóba II. i Wilhelma, był prawdziwym dręczycielem swych krawców; bo gdy który z nich przyszedł dla wzięcia miary, widział, że tancmistrz na lewém ramieniu miał garb ogromny, który, gdy krawiec przyniósł suknię, na prawe ramię się przenosił. Krawiec jak naturalna zmieszał się, i prosił o przebaczenie; ale gdy przyszedł z poprawioną suknią, ujrzał go prostego jak świécę. Tym sposobem przenoszenia garbu z jednéj strony na drugą, przywodził krawców do rozpaczy.

---

*) Jules Janin, jak sam donosił w swoim feuilletonie, ożenił się.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. — Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.
Drukiem Piotra Pillera.